Rozmaitości

DNIA 3. PAŹDZIERNIKA Ner 40. 1835 ROKU.

W I É R S Z
NA UKOŃCZENIE WIEŻY RATUSZNÉJ
MIASTA LWOWA.
1835.

W noc idzie ziarno i mieszka ponuro
Nim z-iści radość i pomyślność wszelką;
Z nocy nam wyjszłaś smukła grodu córo,
Jużeś dziewicą i obywatelką.

Witaj nam! witaj niebotyczna pani.
Pyszne masz wiano, godnie cię zaszczyca:
Lew berło wodzi na złocistéj bani;
Przed tobą płazem leży okolica.

Pięknieś urosła z kolébki znikoméj,
Nie dawno poziom był twojém wezgłówiem;
U nóg twych teraz klęczą wzniosłe domy,
Tyś olbrzym w niebo, a my tylko mrowiem.

Pamiętaj jednak, żeś mdłe ziarno piasku,
Człowieka ręką w zamiar uklejone;
Że gór wnętrzności dla twojego blasku
Zchyliły grzbiety wiekami zjeżone;

Niech cię upomnie los starszéj siestrzycy:
Pół czwarta wieku z gromami gadała,
Szczyt w gwiazdy pięła, rosła zdrowiem lwicy —
U nóg nam padła, i w gruzach skonała!...

Król ptaków pyszno usiadł na twym szczycie,
Dzwon głośny w twojéj zamieszkał koronie,
Pierś czas odlicza, tętni śmierć lub życie,
Losy śmiertelnych wzięłaś w swoje dłonie.

Wielki masz posag, wielkie powołanie,
I temuś tylko stanęła wysoko.
Zawdzięcz grodowi o twój byt staranie,
W straż cię postawił, miéjże baczne oko;

Śledź czujno wroga, co najczęściéj nocą
Śród snu błogiego zgubne żądło wciska,
A nagle wichrząc dziką piekieł mocą,
Wiedzie ruinę, gruzy i zwaliska...

O, nie daj Boże! aby w téj dolinie,
Która tak gęsto domami zarosła,
Ta chytra żmija w zło-wrogiéj godzinie
Kłęby rozwiła, żér w obłoki niosła! —

Zuchwale człowiek dumne dzieło stawi
I w jego trwałość wszelki zabieg zwraca;
Jeżeli niebo nie pobłogosławi,
W żaden pożytek nie pójdzie mu praca;

I kit nie skrzepi, i gwicht nie pomoże,
I za nic wszelkie rozumu rachuby;
»Jeżeli domu nie dasz w ramię Boże,
»Dom z głazu żłobion, nie ubieży zguby.«

Bożéj opiece, bożemu ramieniu
Piękna dziewico oddajem' twe zdrowie;
Wzięłaś chrzest święty w ciosanym kamieniu,
Wiekom cię kapłan oddał w bożém słowie;

Wiekom cię także dają moje pienia,
Wiekom mieszkaniec siedziby Leona;
Nieś o nas pamięć w późne pokolenia,
Pokaż im godła, któremiś zdobiona;

A może kiedyś patrząc na te znaki,
Tkliwe wspomnienie serce im rozkwili,
Może w cześć naszą zdarzy się wieszcz jaki,
W piosnce zanóci: żeśmy kiedyś byli!

J. N. K.

KTO SIĘ
W OPIEKĘ PODA PANU SWEMU.
Powieść z r. 1706.

Miasto Biecz, w obwodzie Jasielskim leżące, jestto stare miasto. Kronikarz pewien nazwał je stolicą królestwa Bieszczadów; drugi nadał miastu temu tytuł *parva Cracovia*, z téj przyczyny, iż handlem i bogactwem mieszczan równało się niemal z Krakowem. Był czas, kiedy ściana ratusznéj wieży nosiła infułę biskupią. Władysław Łokietek starł jéj wizerunek berłem swojém żelaznem i Biecza imię dorzucił do skarbcu królów. Odtąd Biecz miastem został grodowém, i pomnożył senatorską izbę o jedno krzesło. Fr. Zeleński ostatnim był kasztelanem bieckim. Nie małą sławę pozyskało z téj miary, iż było miejscem

urodzenia Kromera, warmińskiego biskupa, kronikarza polskiego, idącego o *prym* z poganem Liwiuszem. Spaniałą ujrzysz tam farę, miedzą pobitą, staraniem i nakładem ks. Kaszewicza, kanonika tarnowskiego, oficyjała i proboszcza bieckiego. Dawniéj były i klasztory, i murowane kamienice; dzisiaj do ich ruin stanęły w rzędzie równéj ulicy liche drewniane chatki, nibyto drobne wnuczęta, tulące się do starych dziadów swoich i babek, nibyto odziomki, wyrastające z dębów poprzewracanych i spruchniałych. Na rynku stoi ratusz dawny, miał prawo miecza; relikwija prawa tego pozostała jeszcze, miecz stępiały na karkach złodziei i cyganów, dzisiaj rdzewieje. Daléj idąc, nie ujdzie oka twojego zamek grodowy, pusty; wielkiemi jego oknami bez szyb, i wrotami bez podwoi, wejdzie myśl twoja, jakoby bramą otwartą do przeszłości; a znalazłszy w niéj pustki, cichość i rumowisko, gołębim płaczem zatęskni smutna. — Przecież ruiny spaniałe stoją na szczycie wysokiego pionowo się wznoszącego pagórka, którego stopa zanurzona w rzece Ropie.

Widok na zamek, dziwne uczynił na mnie wrażenie, kiedym patrzał nań z niziny, z drugiego rzéki brzegu. Ściana zamku podobną mi się zdała do oblicza starca, w którego oczach nie gra gwiazda życia, i serce puste; żadném nie zamieszkane uczuciem. Obraz ściany zamkowéj odbijał się w źwierciedle rzéki, i zdawało się, że to wisząca u staréj twarzy broda i chwicje się i rusza swym włosem.

Biecz jest miastem wczorajszém, a jego mieszkańcy dzisiejsi tyle wiedzą o korzeniach jego, głęboko w przeszłość zakopanych, i tyle wiedzą o wysokości jego sławy, ile mech porastający korę staréj lipy, wié o lipie.

Na początku 18go wieku stała karczemka mała, na wjezdzie do miasta od strony Gorlic, pogorzała, i w miejscu, gdzie w wczorajszém stoleciu ręka gospodnika, Żyda, podawała piwo, i podolską gorzałkę, dziś dłoń przyrodzenia poda tobie w maju fijołki, w sierpniu żółte jabłka lub śliwkę niebieską.

Było to w r. 1706, a były w kraju jakieś rozruchy. Leszczyński szamotał się ze Sasem; los igrał berłem, i jakby piłkę z jednéj ręki przerzucał do drugiéj, w końcu pozostało berło w téj, która podkowy i talary bite łamać umiała. Słońce zachodziło, a miało się na słotę, jak w krakowiaku: »Zachmurza się niebo, dészcz zaczyna rosić.«

Przed oknami karczemki stanął szlachcic pewien, na koniu jadący. Posłyszeli ludzie, co w karczmie byli, tętent jadącego; do okna biegli, obawą przejęci; bo w czasie rozruchów gość nie zawsze miły, i na jednego co coś przyniesie, będzie dziesięciu co wezmą. Twarz i postawa przybyłego szlachcica nie miała wojackiéj postawy, nié miał ani wąsa, jak zwano sitarskiego, ani korda przy boku, uzbrojon był kańczugiem tylko krótkim, co mu wisiał u ręki. Wstąpiła dusza w mieszkańców karczmy: »Marku!« ozwał się do stróża gospodnik Żyd, »jak się wam zdaje, nie wygląda on na zawadyje? i sam jeden jedzie — to mu tam otwórz wrota.« Poszedł Marek i otworzył wrota.

»Niech będzie pochwalony,« przemówił szlachcic wjeżdzając do sieni. Marek nie odpowiedział: »na wieki,« tylko patrzał na obcego, od stopy do głowy go mierzył; a drzwiami uchylonémi do połowy, wyglądały dwie głowy, jedna brodata Żyda, druga w białéj bindzie Żydówki. »Bóg wam zapłać, żeście mię przyjęli, na wielką się słotę zanosi; objechałem wszystkie gospody w mieście, nikt mię przyjąć nie chciał; niech ich nie znam, jacy nie dobrzy mieszkańcy; przecież do biésa nic złego nie patrzy mi z oczu.« To mówiąc zsiadł z konia szlachcic podróżny, a konia oddawszy Markowi, szedł ku izbie szynkownéj, otrząsując z czapki krople dészczowe.

»Wielmożny Pan z daleka?« zapytał Żyd.

»Ho, ho, z daleka, aż od Sandomiérza jadę.«

»Od Sandomiérza? jak słychać tam wojna w Sandomiérskiém.«

»Ho, ho, starosta rawski, Grudczyński, zuch, nie da sobie w kaszę dmuchać, a sam dmucha i dobrze — zuch, jakoby drugi Czarnecki.«

»To tam niebezpieczno jechać,« zagadał Żyd.

»Nie wiém o tém, bo nie znam co niebezpieczeństwo; jak długo żyję, nigdym o tém nie myślał; nikomum nic złego nie zrobił, *ergo* i mnie nic złego nie zrobi żaden.«

Rozgościł się szlachcic w izbie, palnął gorzały, wyściskał Żydówkę, bo ładna była, a po wieczerzy, nie długo się bawiąc, odmówił pacierz, przeżegnał się, i ległszy na posłaniu zasnął, i chrapał dobrze. Żyd z Markiem, stróżem, gwarzyli jeszcze długo.

Nazajutrz, skoro świt, zerwał się szlachcic, gospodyni uwarzyła mu polewkę z piwa, ze śmietaną, chlebem, nie żałowała séra i kminku; przy śniadaniu Żyd znowu do szlachcica pokłoniwszy się zagadał: »Bez urazy... Wielmożny Pan, w którą stronę jedzie?«

»Otóżto właśnie, że sam nie wiém, i ciebie się zapytać muszę o drogę, jeżeliś dobry, to mi powiedz, daleko ztąd Lipinki? — »Nie daleko, cztéry mile, nie więcéj.«

»Na południe stanę w Lipinkach?« — »A dla czegoby W. Pan nié miał stanąć.—«

»No, proszę uniżenie, a mnie powiedziano, że to gdzieś w górach wielkich; nigdy tam nie byłem, chociażto w Lipinkach proboszczem jest ks. Wieściński, mój rodzony wujaszek.« —»Kłaniam Wielmożnemu Panu! ks. proboszcz nie przejeżdza tędy nigdy, żeby do mnie nie wstąpił.«

»To znacie tedy wuja mojego?« — »Czegożbym go nie miał znać?«

»A cóż tam słychać o nim?« — »A coby było słychać? wszystko dobrze.«

»Pięknie mi dobrze! ks. Wieściński przecież rozniemógł się bardzo, jak mi pisano, niebezpiecznie nawet chory; może i skończy.« —»No, to W. Pan sukcesyję po nim weźmie; a ludzie mówią, że ks. proboszcz ma gotówkę.«

»Nie wiém o tém.« — »Ale ja wiém, winszuję Wielmożnem Panu jak najwięcéj.«

»Dajmy temu pokój, raczéj obacz, mój Żydku, czy koń gotów, i powiedź co się należy.«

Poszedł Żyd do stajni, wybiega za nim Żydówka, i z Markiem coś gadali długo, ale cicho. Po długiéj chwili, gdy gospodnik do izby powrócił, szlachcic przypomniał mu rachunek: »Nic nie nagli,« rzekł Żyd, »Wielmożny Pan powracać będzie to zapłaci, a będzie wtedy czém płacić.«

»Dobry jesteś, mój Żydku, nie lubię długów, ale jeźli mam wiarę u ciebie, a zechcesz mi poczekać, przyznam się tobie, że w trzosie moim nié mam jeno kilka złotych; złe teraz czasy... oj złe!« — »Będą lepsze, niechno Wielmożny Pan weźmie po wuju tę gotówkę. Wielmożny Pan raczy jeno z powrotem do nas, będzie miał wszelką wygodę i usługę, mam stary miodek lewocki.«

»Co do tego bądź spokojny, mój Żydku, dług każdy jest i bywał u mnie zawsze świętym, nikogom jak żyję nie skrzywdził. Boże zachowaj! zapłacę wszystko co do grosza, i za poczekanie się odwdzięczę.« — »Mam więc słowo Wielmożnego Pana.«

»Masz słowo i rękę moję.« To rzekłszy szlachcic, podał Żydowi rękę, Żyd nadstawił swoję, ale ręka żydowska drzała, i trzęsła się jak w febrze.«

»Co tobie Żydku?« zapytał szlachcic, patrząc Żydowi w oczy. Żyd spuścił oczy w ziemię, cofnął rękę i zająkał się w odpowiedzi. Wszedł Marek stróż, oznajmując, iż koń gotowy.

Szlachcic palnął gorzały, wyściskał Żydówkę, i nie bawiąc się, usiadł na konia — odjechał.

Żyd wraz ze stróżem swoim Markiem odprowadzili szlachcica na gościniec, i patrzali długo za odjeżdzającym. Gdy już zniknął z oczu, dopiéro obejrzawszy się dokoła Żyd, zaczął mówić do stróża, głaskając sobie brodę:

»No, cóż ty tam myślisz Marku?« — »Cóżbym myślał,« odpowiedział stróż, »głos jego był gruby, jakby z zardrzwiałego wydziérał się gardła.«

»Ej Marku! ten szlachcic to filut jakiś?« — »Nie koniecznie.«

»Jakże się wam zdaje, Marku, wróci? wstąpi do nas z powrotem?« — »Albożja wiém.«

»Jeżeli wróci... pamiętajże Marku.« — »Dyć pamiętam przecież.«

»Tylko Marku, żebyś nie zdradził, nie wygadał się, bo jak czasem w pałkę nalejesz?« — »Wiém ci ja wiém, co gadać, a co nie gadać — albom was zdradził kiedy?«

»Jeżeli nam się uda, wielkie pieniądze nam się znaczą. Ty Marku do połowy należysz, sumiennie się z tobą podzielę«

»Żeby się jeno udało.«

»Co się nié ma udać? bo rozumiécie, mój Marku, upoję go miodem, będzie spał i chrapał, jak zabity, lada dziecko podoła śpiącemu. Cicho o tém... ludzie idą drogą.«

Minął tydzień, szlachcic nie przybywał; mijał drugi, ani słychu o nim.

W trzecim tygodniu po odjeździe szlachcica przechodzący drogą wieśniak wstąpił do karczmy. Żyd, poznawszy, iż to góral gdzieś z dalekiéj okolicy, zwyczajem swoim jął go pytać i badać, zkąd i dokąd idzie? a kiedy mu wieśniak odpowiedział, że jest wysłany z Lipinek, zadrzał Żyd na całém ciele, zająkał się, i nie wiedział o co dalej się pytać miał;

ale nie czekając zapytania góral, sam się z tém odezwał, że jest wysłany z listem do proboszcza Bieckiego, by jechał na pogrzeb, bo pleban Lipinek umarł wczora; a suty pogrzeb sprawić mu mają. Po odejściu górala Żyd chodził po izbie zadumany, a dopiéro kiedy noc nadeszła, zaczął się umawiać z Markiem i żoną o zbrodniczém swojém przedsięwzięciu. Bo mówią ludzie, iż są rzeczy, o których we dnie rozmawiać nie miło, w nocy lepiéj.

Ale dnie przebiegały, a spodziewany niespokojnie wyglądany nie przybywał szlachcic. Żyd tracił już nadzieję, i żałował, że przedwcześnie swój zamiar odkrył Markowi. Żydówka, która nie mając odwagi źwiérzęcéj (a takiéj potrzeba do odbiérania życia bliźnemu), dawniéj usiłowała odwieść męża od przedsięwziętego zabójstwa, teraz gdy już niemal pewność była, że szlachcic nie powróci, zaczynała żałować straty tych pieniędzy, które zbogacić ją miały, i łajała męża, że nie wziąwszy od szlachcica pieniędzy za nocleg, i swoje stracił i nic nie zyskał przezto.

Dnia nareszcie jednego, blizko już było wieczora, Żyd gospodnik wpadł do izby pomieszany i blady i trupim głosem zawołał: »Jedzie szlachcic, jedzie!« widziałem go, »jedzie sam jeden...«

Twarz Marka spłonęła, jakby ogniem oblana; Żydówka przestraszyła się bardzo, serce jéj biło, dygotały ręce. Milczeli długo, potém rozmawiać zaczęli głosem niespokojnym, przerywanym.

Zatętniła krzemienista droga; szlachcic nadjechał i stanął przed oknami karczemki, ani Żyd, ani Marek, ani Żydówka nie wybiegła przybyłego powitać, snać opuściła ich odwaga.

Szlachcic zeskoczył z konia, uwiązał go u płota przed stajnią i szedł do izby: »Jak się macie,« rzekł próg przestępując, »a co, umiém dotrzymać słowa, albo nie? dług tu zaciągnąłem, będzie temu, jeżeli się nie mylę, ctéry tygodnie; otóż jestem, przychodzę, ażebym zapłacił co do grosza, i z procentem zapłacę, jak się patrzy. Obrachujcie się ze mną, co żywo, bo ruszam daléj, i jeźli Bóg da, kilka mil upalę wieczorkiem.«

»Jakto, Wielmożny Pan daléj jedzie, nie będzie nocować tutaj?« mówił Żyd jąkając się, a oko zaiskrzyło się jego, i usta zapieniły z gniewu i żalu, bo myśl ta, iż nadzieja zbogacenia się spełzła na niczém, drażniąc chciwy i łakomy umysł jego, wściekłości źwiérzęcéj wlała mu w łono. Opuściła go trwożliwość i niespokojność, myślom zbrodniczym nieodstępna towarzyszka, i śmielszym jak z początku głosem jął namawiać szlachcica, by nie jechał daléj, i w jego zanocował karczmie, a troszcząc go niebezpieczeństwem, jakie zagraża podróżnemu w czasach tych wojennych, obiecywał mu zupełną pewność; nie zapomniał napomknąć szlachcicowi, jako mu dał słowo, że za powrotem u niego nocować będzie.

»Dałem słowo!« rzekł szlachcic, »tam do biésa, prawda, dałem; *ergo* zanocuję — nie pokaże się to na mnie, żebym kiedy nie dotrzymał słowa. I masz prawdę Żydku, czasy nie pewne, łotrów pełno wszędzie, wszelako żebym miał rzec prawdę, łotra się nie boję: Oho! nie jeden dobrze się piérwéj po swoim łbie poskrobie, nim się do mojéj weźmie czupryny; ale kiedym dał słowo, zanocuję tutaj i nie spoźnię się w drodze, bo natomiast jutro co świt kopnę się daléj; idź Marku — wszakże, jak pomnę, Marek tobie na imię — idź Marku... konia do stajni, dać obrok, siano, co się patrzy — mnie pościelisz tu, oto na ziemi; jestem znużony podróżą.

Po odejściu Marka szlachcic ozwał się do Żyda: »Karczmarzu! gdybym zaspał, bo sypiam twardo, nie zapomniéj mię obudzić przed świtaniem, słyszałeś!... podróż mam pilną, i radbym błyskawicy lotem być u mojéj Marysi; nieboga pisała do mnie, umyślnego posłała z listem, w którym mi donosi oto, że synek nasz, dziecina śliczna, jak malowanie, zasłabł nagle, rady sobie nie wié kobiécina. Boże ty, Boże! gdyby mi odumarł, onaby go nie przeżyła, jabym ją nie przeżył...« Łza wytrysła mu z oka, nie zdążył ją otrzéć, stoczyła się i kapła mu na wąsy.

Żyd przechadzał się po izbie zamyślony; po małym przestanku do gościa swego zagadał: »Wielmożny Pan nie pozwoli sobie służyć miodkiem — mam parę garncy starego lewockiego: *Dobry trunek — na frasunek.*« Szlachcic nic nie odpowiedział. »Na co te turbacyje,« mówił daléj Żyd, »synek Wielmożnego Pana będzie zdrów, a Jéjmość znów się pocieszy, skoro Wielmożnego Pana obaczy, i dowié się o sukcesyi po księdzu Wieścińskim.«

»Bodajem był i grosza nie widział, a mój synaczek mi się uchował; pieniądze nie pocieszą w utrapieniu, co mi po nich, jeżeli synka mego jedynaczka utracę. Jak mi Bóg miły, w błoto je rzucę. Słyszysz Żydku, nie chcę ani miodu, ani wieczerzy. Wołaj Marka, niech mi posłanie zrobi; zmówię paciérz i spać pójdę.«

Żyd gospodnik zaszwargotał coś do Żydówki, postał chwilkę; wreszcie, życząc gościowi dobréj nocy, wyszedł z żoną do przyległego alkierzyka, gdzie ich sypialnia była. Marek przyniosłszy kilka słomy okłotów, rozwiązywał je, i roztrząsywał, ścieląc posłanie dla szlachcica. Tymczasem szlachcic, klęknąwszy na ziemi, ucałował szkaplérz, i zaczął śpiewać:

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całém prawie sercem ufa jemu,
Śmiele rzec może: Mam obrońcę Boga,
Nie będzie u mnie straszna żadna trwoga.

Ciebie on z łowczych obierzy wyzuje
I w zaraźliwém powietrzu ratuje:
W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
Pod jego pióry ulężesz bezpiecznie.

Stateczność jego, tarcz i puklerz mocny:
Za którym stojąc na żaden strach nocny,
Na żadną trwogę, ani dbaj na strzały,
Którémi sieje przygoda w dzień biały.

Ztąd wedle ciebie tysiąc głów poleże,
Ztąd drugi tysiąc: ciebie nie dosięże
Miecz nieuchronny: a ty przed swojémi
Oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznémi.

Marek miał się do wyjścia, w progu stanął i słuchał spiéwającego, a potém bez wiedzy, mimowolnie może, zaczął spiéwać wraz ze szlachcicem, i rzecz dziwna słowo po słowie powtarzał pieśń tę nabożną. Postrzegł to szlachcic i zadziwiony zawołał: »Co widzę, ty umiész tę pieśń nabożną? — czegoż do biésa nie odpowiadasz? kiedy cię pytam; mówże, kto ciebie nauczył ją spiéwać?«

Marek, nie dawszy odpowiedzi, wyszedł z izby. Oburzyło to szlachcica, wołał na odchodzącego, ale nadaremnie; natomiast odchyliły się drzwiczki od alkiérza i wstąpił do izby karczmarz. Posłyszał wołanie i ciekawością wiedziony, zbliżył się do szlachcica, i zapytał, czego żąda.

»Powiedź mi Żydku, jak dawno służy u was ten Marek.« — »Bez mała rok będzie na gody.«

»Hm, hm... a dawniéj co robił, gdzie był?« — »Służył, jak powiada, we dworze u Państwa w Rzepie[illegible], a na co Wielmożnemu Panu potrzebno to wiedziéć?«

»Teraz pojmuję, jeżeli służył we dworze, tam bez wątpienia nauczył się téj pieśni.« — »A jakiéj to pieśni?« zapytał Żyd ciekawie.

»Nie dla was to Żydów ta pieśń nabożna; idź spać, a nie przeszkadzaj mi w spiéwaniu.« Poszedł Żyd do alkiérza, szlachcic spiéwał daléj:

I żeś rzekł Panu, tyś nadzieja moja,
Iż Bóg najwyższy jest ucieczka twoja,
Nie dostąpi cię żadna zła przygoda,
Ani się znajdzie w domu twoim szkoda.

Aniołom swoim każe cię pilnować,
Gdziekolwiek stąpisz, którzy cię piastować
Na ręku będą, abyś idąc drogą
Na ostry kamień nie ugodził nogą.

Będziesz po żmijach bezpiecznie gniewliwych,
I po padalcach deptał niecierpliwych,
Na lwa srogiego bez obrazy wsiędziesz,
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.

Słuchaj co mówi Pan: iż mię miłuje
A przeciwko mnie szczérze postępuje;
Ja go też także w jego każdą trwogę
Nie zapamiętam i owszem wspomogę.

Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony,
Ja z nim w przygodzie: ode mnie obrony
Niech pewien będzie, pewien i zacności,
I lat sędziwych, i méj życzliwości. *)

Skończył spiéwaną modlitwę i nie zwlekając z siebie odzienia legł na posłanie, i wkrótce chrapał głośno, usnął na oboje ucho.

Żyd nie spał; przechadzając się po izbie, co chwila: to stawał u drzwi, i przez szczelinę drzwiczek zaglądał do izby, i przysłuchiwał się. Noc była pochmurna, niebo nasute chmurami, kiedy niekiedy tylko dozwalało światło księżyca rzucić blady i przemijający na ziemię promień.

I cichość była; tylko chrapanie szlachcica ją przerywało. Żyd jéj nie przerywał cicho szepcąc do żony, która dygotała na całém ciele, jak listek na wietrze.

Minęła może godzina; Żyd karczmarz zbliżył się do szafy, która była składem różnych sprzętów; sięgnął (ręka mu drżała), pochwycił drżącą ręką nóż długi, narzędzie przedsięwziętego morderstwa... zalecił żonie, ażeby się zachowała cicho i spokojnie, sam odchyliwszy drzwiczki, wkroczył do szynkownéj izby. Księżyc zabłysnął jasno i oświécił twarz leżącego szlachcica; morderca odwrócił oczy i cicho na palcach przesunął się ku drzwiom do stajni wiodącym, nie czyniąc szelestu, otworzył je; poszedł budzić Marka.

»Marku, Marku, wstawaj!« wołał przytłumionym głosem, wstrząsając śpiącego, »wstawaj Marku, teraz czas. Szlachcic spi jak zabity; wstawaj i chodź ze mną, nóż mam oto w ręku.« — »Idźcie sobie sami, ja nie pójdę.«

»Cóżto znowu takiego? widzicie go, teraz mówi: nie pójdę.« — »Idźcie, i zabijcie go, jeżeli zabić go podołacie, ja nie pójdę.«

»Marku, cóż się tobie stało? przyrzekłeś sam go zabić, a teraz...« — »A teraz powiadam, że mu nic nie będzie; nikt go zabić nie potrafi.«

»Nie potrafi? a czegożby to nie mógł potrafić?« — »Otóż żaden człowiek nie potrafi go zabić, powiadam wam, i jeżeli nie wierzycie, co mówię, idźcie sami i próbujcie, czy potraficie.«

»Gadasz od rzeczy, mój Marku, jak przez sen oto.« — »Nie przez sen to gadam, bo wiém, co gadam... Słyszeliście jak spiéwał szlachcic: Kto się w opiekę poda Panu swemu, tę pieśń dawniéj w Rzepienickim dworze, kiedym służył, spiéwałem wraz z wszystką czeladzią, co wieczora, i pan z nami spiéwał; bocto pewna, że kto ją spiéwa, przed zaśnięciem, pewien życia, i bezpieczny od zabicia, żaden nóż nie przebije, całe ciało jego, jakby kościane.«

»Pleciesz Marku, radbyś, żebym ci wierzył; oto powiedź raczéj, że nie masz odwagi.« — »Wy ją może macie? więc idźcież i probujcie, czy przebijecie pierś szlachcica nożem waszym; idźcie jeno, a przekonacie się, że prwdę mówię.«

Słysząc tę dziwną Marka mowę, zamyślił się Żyd, i lubo nie przestawał namawiać i prosić Marka, ażeby go nie opuszczał, i dopomógł za-

*) Ten psalm Kochanowskiego, znajduje się w Kantyczkach i w pamięci ludzi starszych.

mierzonego dokonać zamysłu; w duchu dawał może poniekąd wiarę téj cudownéj mocy, jaką miała ta pieśń nabożna staroświecka: Kto się w opiekę poda Panu swemu. Po chwyli namysłu, w którymto przesunęły mu się na myśl i rozwagę, wielkie szlachcica pieniądze, a łakomstwo podłechtalo go na nowo, jął do Marka przemawiać znowu, pragnąc go przekonać, iż rzeczy, o których prawi, do wiary nie są podobne.

Ale nie przekonał Marka, bo mocna i niezachwiana była jego wiara, od młodości w jego wszczepiona serce, nie dała się wykorzenić, pozostała w niém, chociaż w poźniéjszém życiu wszystkie chrześcijańskie potracił cnoty, i nie wzdrygał się nawet, wychłostany z dworu za kradzież, przyjmować służbę u Żyda. Czysto religijna ta wiara w Opatrzność Boską tyle na nim wywarła wpływu, iż przekonany o zabezpieczoném tą opieką boską życiu człowieka, do przedsięwzięcia morderstwa, jako do spełnienia niepodobnego należéć nie chciał; ale więcéj nic mu jego nie dyktowało serce... ani litość; więcéj dla szlachcica nic nie zrobił.

Żyd widząc, iż słowa jego nadaremne, szeptając coś po cichu, wrócił nazad do szynkownéj izby. Cicho było w izbie i czarno; szlachcic oddychał głośno, spokojnie i swobodnie.

Żyd zbliżał się ku niemu... drzał i dygotał cały: zaszeleściały drzwiczki, nóż wypadł z ręki mordercy: »Rupert! czyto ty tam stoisz? zapytała Żydówka, we drzwiach od alkiérza stojąca. »Cicho, cicho!« mówił Żyd, przychodząc do siebie; schylił się i macał po ziemi, dopóki nie wyszukał upuszczonego noża. »A gdzie Marek?« zaszeptała Żydówka. Żyd, podniosłszy nóż upuszczony, przesunął się na palcach do alkiérza, i drzwi przymknął za sobą: »Gdzie Marek?« zapytała się znowu Żydówka. »Naco nam Marka? Marek ogłupiał; ja nie wiém co mu się stało, jakieś plótł bajki, a potém nie chciał słuchać, com gadał do niego; nakrył się z głową i spi. Ale naco nam Marka? obejdę się bez niego, szlachcic spi, jak zabity.« Posłyszawszy te słowa Żydówka nie pokoić się zaczęła i odmawiać męża od wykonania morderstwa, czyniąc uwagę, że Marek, kiedy nie chciał należéć do zabójstwa, gotów potém wydać, zdradzić. Ale Żydowi zdawało się, że już za późno, i choćby zaniechał zbrodniczego zamiaru, Marek wiedząc o wszystkiém, oskarżyć go zawsze może. Lepiéj tedy myślał Żyd, zabić szlachcica, a pieniędzmi podzielić się z Markiem, to milczéć będzie. Te uwagi nastręczały im znowu inne, i przedłużały do północy tajemną naradę. — Północ była kiedy Żyd, rzekłszy »teraz czas,« pochwycił za nóż, odchylił drzwiczki i wstąpił do izby, w któréj spał szlachcic, Żydówka szła za nim.

Po nie długiéj chwili ciszę północną przerwał nagłe wrzask okropny i słowa: »Ratujcie, ratujcie! Żyd zdrajca — zabił mię — ratujcie!« głos ten cichnął, zachrypnął i zamilkł.

* * *

Dnia następnego o porannéj porze, a pora była to dżdżysta i chłodna, wielkie było zbiegowisko ludu na rynku bieckim, koło ratusza. Przywieziono tam bowiem zabitego w nocy człowieka.

Mieszczanie, niewiasty i dzieci ciekawe, wóz otaczający, podnieśli płachtę, którą był nakryty, i patrzali zgrozą przejęci i litością na leżącego trupa, który kilka głębokich miał ran w piersiach i krwią był cały oblany i obryzgany.

Po maléj chwili postrzeżono drugą ludzi gromadę, ulicą od fary biegła ze strażą grodową, prowadzącą na ratusz Żyda, gospodnika w karczmie za miastem, i Żydówkę; okuci byli w ciężkie kajdany. Żyd z odkrytą głową szedł, oczy miał spuszczone do ziemi, Żydówka załamywała ręce, szlochała i jęczała po swojemu.

A niewiasty i dzieci biegli za nimi, wykrzykując na Żydów, i radując się, że mordercy złapani pójdą na szubienicę, albo na koło, za niesłychanie okropne morderstwo.

W niejakiém za niemi oddaleniu, dwóch panów jechało konno; jeden w kontuszu przy karabeli, drugi z podróżna ubrany.

»Z drogi, z drogi!« zawołano, »pan starosta jedzie.« — »A któżto ten drugi, co z nim jedzie, i rozmawia?« — »Obcy jakiś.« — »Onto złapał Żyda na gorącym uczynku.« — »Jako żywo, on go nie łapał, ale przybiegł piérwszy do miasta do straży, wziął ją z sobą; ale Żydzisko, że nie uciekło.« — »Rozum straciło Żydzisko, popełniwszy morderstwo, i czekało, dopóki nie nadeszli żołniérze i nie pochwycili go.« — »Ale czegoż on zabijał tego biédnego Marka?« — »Dobrze tak Markowi, naco Żydowi służył.«

Z ciągniętéj indagacyi z Żydem, którego oskarzycielem był szlachcic nam znany, pokazała się prawda ta: Iż morderca zamyślał zabić szlachcica i zrabować mu pieniądze. Do téj zbrodni nakłonił był Marka, ale gdy przyszło do jéj wykonania, Marek odchylił się od tego; Żyd w obawie, żeby go nie wydał Marek, nie chcąc dzielić się z nim rabunkiem, z żoną swoją naradziwszy się, przedsięwziął zgładzić obudwóch. Spiącego Marka przebił piérwszego, ale raniony narobiwszy krzyku i wrzawy, obudził szlachcica, który, nie wiedząc co się dzieje, trwogą przejęty, zerwał się z poslania, i oknem uciekł z izby. Uciekłszy, pobieżał do miasta prosto; przybyła straż grodowa, wywaliła wrota do stajni, a oświeciwszy ją latarnią, postrzegła zabitego człowieka. Żyda i Żydówkę ujęto.

Szlachcic dał na wotywę do fary bieckiéj na podziękowanie Bogu za uratowane cudownym sposobem życie — a potém dziadek 90letni uczył wnuczki swoje i wnuczęta pieśni: Kto się w opiekę poda Panu swemu, i zalecał, by się spać nie kładli, za nim nie odmówią téj pieśni, któréj winien był życie.

JADAM Z ZATORA.

— Ze Lwowa. —

P. Tschuggmall w 12 przedstawieniach, które dawał ze swemi *automatami*, nadzwyczajnie podobał się publiczności naszéj. Sąto lalki z metalu, skóry i drewna, od 20 do 30 cali wysokie, wykonywające najśmielsze poruszenia i skoki, na linie i na koniach. P. Tschuggmall da jeszcze kilka przedstawień, poczém zamierza wyjechać do Warszawy.

W pismie naukowém wiédeńskiém: *Jahrbücher der Literatur,* na drugi kwartał 1835, czytamy od strony 211 do 220 recenzyję pisma: *Zur Geschichte des ältesten polnischen Psalters zu St. Florian, genannt: der Psalter der Königin Margarethe,* wydanego w Wiédniu przez hr. Dunina-Borkowskiego, w któréj recenzent dowodzi z wielką znajomością rzeczy, że wydawca Psałtérza Małgorzaty nie tylko język polski zbogacił przez umieszczenie pracowitego spisu przeszło 120 słów polskich, które w teraźniéjszéj mowie nie były znane, ale cofnął dzieje literatury polskiéj przynajmniéj o wiek cały wstecz, a tak rozwiązał zagadkę, dla czego język polski już w szesnastym wieku był wydoskonalony, że pisarze tego wieku dotąd służą za wzór czystéj mowy polskiéj. Potém okazuje recenzent, że zasługa tak odkrycia imienia właściciela Psałtérza, jakoteż i wydania wyłącznie ziomkowi naszemu Stanisławowi hr. Duninowi-Borkowskiemu należy. — Zupełnie tedy jest mylne zdanie, umieszczone na str. 203 piérwszego zeszytu tomu piérwszego »Kwartalnika naukowego,« wydanego w Krakowie, gdzie wspomnionemu wydawcy wszelką odebrano zasługę. A.B.

O żywych płotach. Wyczytawszy pismo kapitana Schenk, nauczające, *jak żywe płoty zasadzać,* przekonałem się, iż ta rzecz w kraju naszym nie jest wcale nowa i nieznana, kiedy w Jabłonowie, w obw. Czortkowskim, od r. 1800, t. j. przed 35 laty, zasadzać zaczęto płoty z głogu pospolitego *Crataegus oxyacantha* (w szkółkach zasiewanego, mając go za przydatniéjszy od lasowego, który nawet nie wszędzie obficie się znajduje), dla zamknięcia w czworogran obszérnego ogrodu owocowego, do 4,000 drzew fruktowych, w szachownicę zasadzonych, zawiérającego. Żywy ten płot więcéj jak pół mili czyli 500 sążni długości zajmuje, i w znacznéj części otoczony jest fosą, równo z ziemią podmurowaną, tak, że nie zbliżając się do muru, wcale go nawet nie widać. Takie zamknięcie jedyne i długo letnie, bo wieleto ono grodzonych kratowym sposobem i ze szkodą lasów płotów nie przetrwa, nim zniszczeniu podpadnie, i najspanialszy sprawia widok, jednem słowem, kto go tylko zobaczy, przyzna, że nic piękniejszego w tym rodzaju nie widział. — Dodać tu jeszcze należy, że jest zamiarem, dalsze żywe płoty w Jabłonowie amerykańskim, zimę u nas wytrzymującym głogiem daléj prowadzić, jeżli go więcéj rozmnożą, a to gatunkiem *Crataegus* czyli *Mespilus Crus Galli,* i *Nigra,* mającémi kolce na cztery cale długie; wystawić więc sobie można, jak nieprzebytą zaporę takim głogiem się uzyska. Z.

Wyjmujemy zdanie o komedyjach Alex. hr. Fredra z Muzeum domowego: »Z gustem cywilizacyi i za wpływem cudzoziemczyzny, społeczność nasza inną barwę przybrała: Fredro jest wiernym jéj malarzem. Dzieła jego, po dzień dzisiejszy ogłoszone drukiem, na trzy części podzielić można. W jednych maluje nam teraźniéjszą społeczność, takim jest Geldhab, Mąż i żona, Cudzoziemczyzna, Przyjaciele, Pan Jowialski; drugich podstawą jest poetyczna i filozoficzna myśl, którą w formy dramatyczne przyoblekłszy, umila wesołością, jakoto: Odludki i Poeta, Śluby panieńskie, a w tym względzie Fredro, ile nam się zdaje, nie tylko u nas, ale i u obcych nie miał wzoru, i twórcą nowego rodzaju nazwanym być może; trzecie nareszcie są płodem, a często nawet igraszką wesołéj myśli autora, przyjemne w czytaniu, bawiące na wystawieniu, nie sięgają wyższego celu. Najznamienitsza z tych jest komedyja Damy i Huzary, opiéra się na téj prawdzie doświadczonéj od wieków, że mężczyzni daremnie wyrzekają się towarzystwa kobiét, ich uśmiéch każdemu zawróci głowę, a najbardziéj tym, którzy najsurowszych udawać chcieli; ale jakże jest pełną naturalnéj i serdecznéj komiczności, i chyba tylko płodom Moliera ustępuje w tym względzie. Po niéj idzie: Piérwsza lepsza, List, Gwałtu co się dzieje, Nowy Don-Kiszot i Nocleg w Apeninach.«

Pan Michał Wiszniewski wydaje w Krakowie: »Pomniki historyi i literatury polskiéj,« których r. b. wyszły już 3 tomy: Po przemowie, w któréj wydawca skreślił rzecz o historyi wieków Piastowych i kronikarstwie polskiém przed Długoszem, ogłoszonych jest w tych 3ch tomach, dziesięć rozpraw Tadeusza Czackiego, a mianowicie: 1) O rzeczy mennicznéj w Polszcze i Litwie (napisana r. 1810 dla uczniów wołyńskiego gimnazyjum.) 2) O Cyganach. 3) O Tatarach. 4) O prawie chełmińskiém. 5) O Karaitach. 6) O nazwisku Ukrainy i początku Kozaków. 7) O handlu Polski z Portą Ottomańską (napisana r. 1791). Rozbiór dziejów narodu polskiego Gall. i Kadłubka. 9) Obraz panowania Zygmunta Augusta (przesłany r. 1798 księciu Adamowi Czartoryskiemu, G. Z. P.) 10) O Żydach. Wydanie tych Pomników jest ozdobne; druk wyborny. (D. P.)

Naukowy zakład w Peszcie do wydawania ksiąg w języku serbskim, wydał dotychczas 49ty zeszyt pisma czasowego serbskiego. Czasopismo to utrzymuje się od r. 1825, i z zapałem bywa czytane od Serbów, osiadłych w Węgrzech, mimo usiłowań Węgrów, dążących do madziarszczenia Sławian. Dr. Wuk Stefanowicz Karadzicz, miał zakupić w Petersburgu drukarnię do wydawania dzieł serbskich.

W Wiédniu w teatrze Leopoldsztadzkim dają teraz nową melodramę: *Gospodarstwo na księżycu,* z muzyką pa. Nideckiego, dyrektora orkiestry tegoż teatru (ucznia konserwatoryj. warszawskiego). Muzykę tę bardzo chwalą.

W Frankforcie n. M. przedstawiono nie dawno po raz piérwszy sztukę Szekspira: »Czego chcecie?« przypadkiem wszystkie role dostały się najlichszym aktorom onegoż teatru, sztuka zatem najgorzéj została przyjętą; gdy zaś w końcu przedstawienia rozdawano afisze zapowiadające na dzień następny też samę sztukę: »Czego chcecie?« wiele głosów dało się słyszeć: »Zwrotu naszych pieniędzy!«

Pewien Genueńczyk ożenił się z pewną osobą, z którą odprawił podróż do Egiptu. Tam kupiwszy kilka mumij, wsiadł na okręt z żoną swoją, i miał zamiar popłynąć do Danii. Okręt jego rozbił się u brzegów. Jednę z mumij wyrzuciła woda, włościanie znalazłszy ją, zniesli do wsi, i po chrześcijańsku na cmentarzu pogrzebli. Druga mumija została wyratowaną. W kilka dni potém umarła żona naszego badacza starożytności, który z ciałem swojéj żony i z mumiją jechał na miejsce swego przeznaczenia. Na piérwszéj komorze celnéj, opowiedziawszy

co wiezie, był przymuszony mumiję, jako nieznany towar, zostawić, pokąd wyższy urząd celny nie roztrzygnie. Nie wsmak to poszło naszemu starożytnikowi. Cóż więc robi? Oto mumiję przewozi przez granicę w mniejscu nieboszczki żony, a żonę na komorze, jako nieznany towar zostawia.

W biskupiéj drukarni w Weronie drogą przedpłaty wyjdzie: *Atlas Marianus*, w języku łacińskim, który zawierać będzie historyję wszystkich cudownych obrazów Panny Maryi, ze wszystkich czasów i we wszystkich narodach. Autorem tego dzieła jest jakiś jezuita.

Do najnowszych francuzkich romansów nalężą, jako najwięcéj godne uwagi: *Le conseiller d'état*, przez Soulé; *La belle veuve*, przez Alex. Dumas, i *Media noches*, przez Bibliofila Jakob (Lacroix).

Paryzki dziennik *Figaro* przestał wychodzić, ponieważ żądanéj rękojmi, 100,000 franków, złożyć nie mógł. »Gdybyśmy,« pisze w przed ostatnim numerze, »taką sumę w naszych mieli rękach, umielibyśmy ją na coś lepszego użyć, niż na kaucyję.«

Dziennik *New.Monthly Magazine* mówi: Najwięksi poeci, którzy napisali cztéry ody na cześć Napoleona, byli: Byron, Goethe, Lamartine i Manzoni; lecz wszyscy w różnych pisali je czasach: Piérwszy wtenczas kiedy Napoleon złożył koronę (1814); drugi kiedy cesarz po bitwie pod Jena (1806) przybył do Waimaru; trzeci na jego grobowcu; czwarty w dniu jego śmierci (5. maja). Cztéry te ody w ogóle takby można zcharakteryzować: oda Byrona jest najsilniéjsza, zkoncentrowana i klasyczna; ta co Goethe napisał nie jest godną wielkiego poety; oda Lamartina najwierniéj maluje charakter człowieka; a Manzoniego jest najczulsza i nejpoetyczniéjsza.

Podług dzienników paryzkich biała gorczyca, zażyta w 9, 12 do 15 łyżeczkach dziennie, niezawodnym ma być środkiem zapobiegającym cholerze, którego wiele osób z bardzo pomyślnym doświadczyło skutkiem.

W Paryżu otwartą będzie sala rozrywki, gdzie od 8méj rano do 11téj wieczór, ciągle kilka osób komiczne anegdoty opowiadać będzie — wstęp do téj traktyjerni dowcipu opłaca się ceną 2 sous.

Znany żeglarz na około świata kapitan Dumont d'Urville, na wezwanie rządu francuzkiego niebawem ma odbyć podróż naukową i badawczą.

Pewien optyk w Londynie, imieniem Hauletown, w ten sposób urządził cywy szklanne, iż każdy przedmiot do nieskończoności powiększać mogą. Im więcéj szkieł się przyczynia, tém przedmiot bardziéj rośnie. Tym sposobem wielce dokładne można robić postrzeżenia gwiazd i łunych planet, odkrywając ich kształy, i nowe systemata.

Największy dotąd znany okręt wojenny jest *Pensylwania*, który teraz w Filadelfii stoi na warsztacie; długość jego wynosi 220 stóp, szérokość stóp 60, a 51 stóp trzyma głębokości. Ciężaru bierze 3,306 beczek, 140 dział, i przy wietrze może 18,341 łokci żaglowego płótna rozwinąć; wielki maszt ma 278 stóp, jedna kotwica waży 100,000 funt.

Nowe urządzenie strzelb. Niejaki p. Heurteloup z Paryża wynalazł przyrządzenie, za pomocą którego wypalenie z broni ręcznéj zostanie niezmiernie ułatwione. Dowiódł on, że jeźli się rurkę z miękkiego metalu napełni przychloranem potażu, i takowę przetnie ostrym brzeszczotem (ostrém zelezcem) wybuch nie może w żaden sposób miéć miejsca; przeciwnie zaś za położeniem téj rurki na płaskiéj podkładce i uderzeniem, wybuch następuje nieochybnie. Na tém wsparty doświadczeniu wynalazł p. Heurteloup narzędzie, złożone z brzeszczota i młotka, które nazwał *Coptipteur*, od *koptein* krajać i *typtein* uderzać, i umieścił je przy kolbie broni palnéj, wraz z wyżéj opisaną rurką. Brzeszczot przecina rurkę, a dopiéro za uderzeniem młotka na odcięty kawałek, następuje wystrzał. Po każdym strzale rurka, zastępująca podsypkę, wysuwa się nieco naprzód, i tak narzędzie to do wielu następnych służy strzałów. — Na jedném z ostatnich posiedzeń francuzkiéj akademii umiejętności, jenerał Rogniat zdał wcale korzystną sprawę o tém narzędziu: podług niego używanie karabinów z kapslami połączone jest z niejedną jeszcze niedogodnością, szczególniéj zaś z utratą drogiego czasu, tak jak i przy karabinach z podsypką. Żołniérz w zapale bitwy nie często może miéć dostateczną spokojność, by należycie nasadził kapsel, tak, iż nieraz może urazić nim drugiego, który obok niego stoi. Dla tego też karabiny z kapslami w żadném europejskiém wojsku wyłącznie nie są zaprowadzone. Wynalazek pa. Heurteloup wkrótce się upowszechni, bo niepodobna przeczyć jego użyteczności. Jenerał Rogniat dał o nim przychylne zdanie; miejsce zwyczajnego pistona zastępuje owe narzędzie *coptipteur* zwane, w kamerszrubie osadzona jest przychloranem potażu napełniona rurka od 3 do 4 decimetrów (11 do 15 wiéd. cali) długości. Za każdem naciąganiem *coptipteura* posuwa się ta rurka bardzo prostym mechanizmem o kilka milimetrów (około 2 linii wiedeń.) naprzód, za spuszczeniem zaś *coptipteura* następuje w jednéjże chwili i przecięcie rurki i uderzenie młotka, a następnie i wybuch. Strzelanie może być bardzo prędkie, bo tylko oto idzie, aby samę broń nabić. Długość rurki wystarcza na 80 strzałów, co zdaje się być dostateczne, zwłaszcza że żołniérz zwykle nie ma więcéj przy sobie jak 60 ładunków. Nawet i od iskier z piorunującego prochu pryskać mogących, chroni proste urządzenie, które tém łatwiéj było zaprowadzić, że część rurki, mająca być odciętą, wysuwa się na panewkę sama za pomocą wewnątrz ukrytego mechanizmu, nie zaś jak przy zwyczajnych pistonówkach, gdzie kapsle trzeba palcami nasadzać. — Jenerał Rogniat mniema, iż wynalazek pa. Heurteloup wielką wojskowości sprawi przysługę, poleca go więc roztrząśnieniu akademii.

Fandango. Skoro wieczór wonny i chłodny spuści się na doliny Andaluzyi i Walencyi, zaraz po wioskach gromadzi się młodzież, a brzęk gitary i śpiewu wzywa ochoczych do narodowego tańca *fandango*. Wysuwa się para, z razu wolno pląs idzie przy klaszczących grzegotkach, potém coraz żywiéj i żywiéj, aż do najraźniéjszych poskoków i jestów, wyrażających tryumf miłości, nadzieję, zdradę, prośbę, przyrzeczenie. Nawet i wyższe stany mają upodobanie w tym tańcu; teraźniéjsza rejentka Krystyna ma go tańczyć przedziwnie. Jednakowoż księża, bojący się zgorszenia dla hiszpańskich ócz, serc i nóg, żądali po razy kilka, aby *fandango* zostało zakazane. Zapozwano taniec przed sąd: najbieglejsi stanęli tancerze, i z takim wywiedli go urokiem, iż zaczarowani sędziowie wydali wyrok: tak pięknego tańca niepodobna zabronić. Tym sposobem Hiszpanija ocaliła swój ulubiony taniec, własném jego zwycięztwem.

Wino tokajskie. Wino to jest królem wszystkich win; udaje się nie tylko przy wsi Tokay, ale nawet w całéj okolicy, lecz tylko jeden wzgórek, zwany Mizao Male, wydaje najprzedniéjszy gatunek. Grunt tam składa się powiększéj części z porfiru; część tych gór należy do korony; w dobrych latach bywa ztamtąd 400,000 wiader wina. Bela IV. uważanym być może za założyciela tych winnic. Już w r. 1751 biskup erlawski miał ztamtąd dziesięciny 10,000 dukatów. Wino to pozno dojrzewa, winobrania przypadają często koło 28. października.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.